

12

Ciemne
liczby pandemii

19

Władza
przekracza Rubikon

26

Pusta
nawa

29

Terapia antywirusowa
karabinem maszynowym

32

Konspira
fryzjerów

37

Uzdrowisko
zachorowało

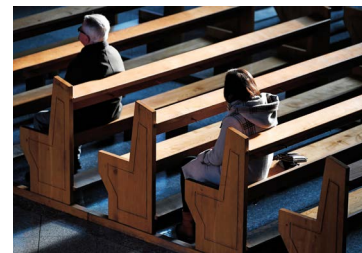
42

Jeszcze Italia
nie zginęła

70

Żegnaj lato
na rok

84

Trening w domowych
warunkach

Temat tygodnia

- 12 Paweł Walewski **Ile osób naprawdę umarło w Polsce na COVID-19**

Polityka

- 16 Rafał Kalukin **Koperty, urny czy stan wyjątkowy?**
19 Rozmowa z prof. **Grzegorzem Ekiertem** o wyborczym bojkocie i władzy, która obezwładnia demokrację
22 Prof. **Piotr Uziębło** o tym, jak się robi uczciwe wybory korespondencyjne
24 Jacek Żakowski **Zamach po Smoleńsku**

Społeczeństwo

- 26 Joanna Podgórska **Kościół w pandemii**
29 Marcin Kołodziejczyk **Raport z zamkniętej granicy**
32 Edyta Gietka **Branża piękności zeszała do podziemia**

Rynek

- 34 Joanna Solska **Biznes w nowych standardach bezpieczeństwa**

- 37 Ryszarda Socha **Koronawirus dusi Kołobrzeg**
40 **Przedsiębiorcy mówią o tym, z czym się dziś muszą mierzyć i ile jeszcze przetrwają**

Świat

- 42 Anna T. Kowalewska WŁOCHY **Patriotyzm w zarazie**
45 Sławomir Sierakowski USA **Inspirowana rebelia covidowa**
48 Zbigniew Rokita UKRAINA **Rok Zełenskigo**

Nauka i cywilizacja

- 50 Andrzej Hołdys **Jak wysycha świat**
54 Rozmowa z prymatolożką **Jane Goodall** o naszych destrukcyjnych relacjach z naturą
57 Jakub Majmurek **Przewodnik Bendyka po współczesnych problemach**
58 Jacek Poprzeczko **Tak zakorzenia się populizm**

Historia

- 60 Marek Ostrowski **Powojenna rola ZSRR**

- 63 Piotr Korczyński **Bitwa o Berlin: Niemcy upamiętniają Polaków**
64 NAGRODY HISTORYCZNE POLITYKI: **Nominacje**

Kultura

- 70 Bartek Chaciński **Lato bez festiwali**
73 KAWIARNIA LITERACKA **Anna Dziewit-Meller**
74 **Joanna Kulig** o roli w nowym serialu Netflix'a „The Eddy”
77 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**
78 Rozmowa z prof. **Dorotą Folgą-Januszewską** o wirtualnym zwiedzaniu muzeów

Na własne oczy

- 84 Marcin Piątek **Jak sportowcy ćwiczą w domach**

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 66 Afisz • 80 Passent
- 81 Tym • 82 Mizerski na bis
- 83 Do i od redakcji
- 90 Polityka i obyczaże



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Samopoczucie prezesa

Rozmaite osoby znęcają się nad Jarosławem Kaczyńskim i piszą do niego w mediach społecznościowych listy otwarte, na które Jarosław Kaczyński nie może odpowiedzieć, bo nie umie posługiwać się komputerem. W dodatku w tych listach namawiają Jarosława Kaczyńskiego do robienia rzeczy niebezpiecznych dla życia i zdrowia. „Panie Jarosławie, czas wyjść na zewnątrz i naprawdę zacząć rozmawiać z ludźmi” – pisze pani burmistrz Wołomina, która udaje, że nie wie, czym może się skończyć wychodzenie na zewnątrz i rozmawianie z ludźmi mającymi teraz poważne problemy i na próby nawiązania rozmowy mogącymi reagować agresywnie. Uważam, że jeśli nawet Jarosław Kaczyński ze względów bezpieczeństwa założyłby maseczkę, i tak mógłby zostać rozpoznany i zaatakowany, dlatego jestem za tym, żeby Jarosław Kaczyński nigdzie nie wychodził i z nikim nie rozmawiał. A jeśli już – sprowokowany agresywnym listem pani burmistrz – zdecyduje się wyjść i rozmawiać, to żeby oprócz maseczki koniecznie miał na sobie skafander i przyłbicę.

Przykro patrzeć, jak atakuje się starszego, życiowo niesamodzielnego człowieka, wymagającego całodobowej ochrony i nieposiadającego nawet skrzynki na listy. Jak



wiadomo, dobrzy ludzie założyli mu ją dopiero teraz, żeby za jej brak nie dostał kary i mógł wziąć udział w nadchodzących wyborach korespondencyjnych. Zastanawiam się, jak posłowi Bielanowi udało się namówić kogoś takiego na zorganizowanie wyborów drogą pocztową? Miejmy nadzieję, że nie wykorzystał sprytnie momentu nieuwagi prezesa, gdy ten oglądał rodeo w TVP albo bawił się z kotem. Burmistrz Wołomina obawia się, że jej list do Jarosława Kaczyńskiego może ugrzęznąć „gdzieś u ludzi, których zadaniem od dawna jest strzeżenie Pana spokoju i dobrego samopoczucia na swój temat”. Zastanawiam się, co pani burmistrz ma przeciwko dobremu samopoczuciu Jarosława Kaczyńskiego na swój temat? W opinii wielu osób dobre samopoczucie Jarosława Kaczyńskiego to wielki dorobek Polski ostatniego 5-lecia. To także ożywczy impuls w trudnych czasach, gdy samopoczucie pozostałych Polaków pogarsza się z dnia na dzień.

Na straży dobrego samopoczucia Jarosława Kaczyńskiego stoi Sejm, Trybunał Konstytucyjny, prokuratura i inne instytucje państwa. Rząd na dobre samopoczucie Jarosława Kaczyńskiego przeznaczają ogromne środki z budżetu państwa w przekonaniu, że jeśli Jarosław Kaczyński będzie miał dobre samopoczucie, Polska będzie rosła w siłę, a ludzie będą żyli dostatnio. Jeśli natomiast opozycja i sprzyjające jej media doprowadzą swoimi działaniami do pogorszenia samopoczucia Jarosława Kaczyńskiego, to w opinii ludzi znających Jarosława Kaczyńskiego kraj pogrzeży się w chaosie i wszyscy tego pożałujemy.

NIEGASNĄCE ECHO WOJNY

POLITYKA

POMOCNIK HISTORYCZNY

Nr 3/2020 Cena 25,99 zł (w tym 8% VAT) Indeks: 403652 ISSN: 2391-7717 WYDANIE II UZUPEŁNIONE

Tajemnice końca wojny

Czy Hitler mógł wygrać?
Niemcy i bomba jądrowa
Najlepsi dowódcy wojsk

Oszustwa Stalina
Zagadka Hirohito
Wynalazki militarne

Kolaboranci i zdrajcy
Szpiegdy i partyzanci
Norymberga nielegalna?



Już w kioskach i na sklep.polityka.pl

Wybór przed wyborami

Jerzy Baczyński, Mariusz Janicki

W dniu 4 maja, kiedy piszemy te słowa, nie wiemy, czy tzw. wybory prezydenckie odbędą się 10 maja, raczej nie. A może 17 albo 23? Albo w ostatniej chwili Jarosław Kaczyński odwoła je np. z powodu suszy, co też byłoby bardzo w jego stylu? Albo ogłosi stan wyjątkowy? Już tylko to pokazuje, w jakim miejscu znalazło się państwo po ponad czterech latach rządów Zjednoczonej Prawicy (więcej o tym w artykule Rafała Kalukina na s. 16). Wszystkie bezpieczniki, które powinny były zapobiec tej nieprawdopodobnej sytuacji, zostały przez ten czas zdemontowane. Trybunał Konstytucyjny stał się już tylko instrumentem władzy, Sąd Najwyższy właśnie przechodzi pod jej wpływ, ostatkiem sił broni się Państwowa Komisja Wyborcza. Prokuratura ma status de facto agencji rządowej, a organizacją wyborów zajęli się ministrowie i podległe im państwowe spółki. Nagle cała polska demokracja zawisa na chwiejnym Jarosławie Gowinie i małej kilkusobowej grupce lojalnych wobec niego (?) posłów, którzy mogą tę wyborczą awanturę jeszcze zatrzymać. Co zresztą nie zmienia ogólnego stanu sytuacji – zapaści wszelkich reguł.

Tyle się mówiło, że PiS robi różne dziwaczne rzeczy, że zawłaszcza i demoluje instytucje, że popełnia ustrojowe grzechy, ale wciąż są przecież wolne wybory – społeczeństwo, jeśli uzna, może się pozbyć tej partii. Teraz ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego wykreca i ten bezpiecznik, pokazując, że odtąd już żadne wybory, także te parlamentarne w 2023 r., nie muszą spełniać demokratycznych standardów. Jeśli coś zdarza się raz, może się powtarzać. To przekroczenie kolejnej granicy, tym razem tej najistotniejszej. Ale wcześniejsze ostrzeżenia przed PiS nie działały, bo 500 plus, bo „godność i wspólnota”, bo pragnienie zakończenia „wojny polsko-polskiej”. Dzisiaj, kiedy PiS logicznie rozwija swoje zamiary, dawni symetryści dziwnie zamilkli.

To, co widzimy, może być już finalnym etapem planu.

Trzeba przyznać, że pandemia niesłuchanie ułatwiła Jarosławowi Kaczyńskiemu domknięcie ustrojowego projektu. Po nieprzekonującym, minimalnym zwycięstwie w wyborach parlamentarnych, słabym starciu kampanii wyborczej Dudy,

kolejnych ujawnianych aferach i konfliktach w obozie władzy tzw. Zjednoczona Prawica zdawała się buksować w miejscu. I nagle wszystko się odwróciło: epidemia gwałtownie wyciszyła polityczne spory, oddała w ręce rządu pełnię kryzysowej władzy; miliony Polaków bez szemrania zaakceptowały zakazy wychodzenia z domu, podejmowania jakiegokolwiek publicznej aktywności. Kaczyński wykorzystał to bezwzględnie, marginalizując opozycję i przy pomocy specjalnego prawodawstwa wprowadzając faktyczny stan wyjątkowy. Kolejne regulacje daleko wykraczały poza instrumentarium niezbędne do zwalczania epidemii. Ukoronowaniem – nomen omen – tego proceduru był pomysł przeprowadzenia, a właściwie przepchnięcia pod osłoną pandemii, jawnie – w tych warunkach – nieuczciwych wyborów prezydenckich.

Procedury, które zostały wymyślone po to, aby zapobiegać chaosowi, z jakim mamy teraz do czynienia, czyli np. ogłoszenie stanu klęski żywiołowej czy zakaz dokonywania zmian w Kodeksie wyborczym na pół roku przed terminem wyborów, zostały kompletnie zignorowane. Podobnie jak przepisy mówiące, że urzędnicy, w tym premier i ministrowie, nie podejmują czynności bez podstawy prawnej. A wybory przeprowadza niezależna Państwowa Komisja Wyborcza. Ale nie ma jak się skutecznie, w sensie formalnym, sprzeciwić pozakonstytucyjnym działaniom, ponieważ wszystkie instytucje kontrolne są w rękach PiS. Odwołać się od postanowień władzy można tylko do tej samej władzy i partia Jarosława Kaczyńskiego starannie o to zadbała. Dlatego nadchodzą wybory, których uczciwości, frekwencji ani wyniku nie sposób niezależnie sprawdzić. Stąd mówimy, że, co do zasady, te wybory już są sfałszowane.

Powstaje zatem pytanie, co zrobić z tą imprezą wyborczopodobną, gdyby do niej jednak doszło. Są możliwe dwie postawy, za którymi przemawiają pewne argumenty, ale też obie mają swoje wady.

Pierwsza opcja: bojkot. Wiele osób nie jest w stanie przemóc w sobie niechęci, a nawet obrzydzenia wobec udziału w „wyborach Sasina”, i to bynajmniej nie z powodu epidemii koronawirusa. To ci, którzy są wyczerpani na dochowanie normalnych, opisanych w konstytucji, standardów wyborczych. Dla nich uczestnictwo w pocztowym pseudogłosowaniu oznaczałoby współudział w przestępstwie wymierzonym w państwo prawa. To podejście integralne, wywodzące się z wolnościowego i demokratycznego etosu. W warunkach drastycznej nierówności w prowadzeniu kampanii w czasie epidemii, naruszenia wszelkich procedur wyborczych, powiększanie frekwencji i pośrednie legitymizowanie wyniku Andrzeja Dudy jawią się jako niewybaczalna naiwność. Nie wolno uznawać ani prawomocności tych wyborów, ani mandatu tak wskazanego prezydenta. Trzeba raczej zachować i przechować demokratyczne wartości do lepszych czasów, aby je rozpocząć z czystym sumieniem, nieobarczonym zgnyłymi kompromisami z „suwerenną demokracją”. Żyrowanie parawyborów naruszyłoby moralny kapitał, który może okazać się potrzebny, kiedy pojawi się sposobność zmiany władzy i wyciągnięcia konsekwencji prawnych wobec obecnie rządzących.

Druga opcja: głosujemy mimo wszystko. Może lepiej wziąć udział nawet w takich wyborach, jakie proponuje władza, w nadziei, że jednak nie będą całkowicie sfałszowane? Że nawet obóz rządzący nie jest w stanie wpływać na dziesiątki

Patryk Sroczyński



© PATRYK SROCZYŃSKI

tysięcy ludzi zaangażowanych w ich organizację; może da się jakoś je choć częściowo kontrolować i dokumentować. Jak mówią podtrzymujący zamiar startu kandydaci: przede wszystkim nie oddawać wyborów walkowerem, bo władza właśnie na to czeka – na bierność, bojkot, wewnętrzną emigrację i danie jej wolnej ręki. Trzeba to zatem rządzącym utrudnić i wysłać ten „list do Sasina” (niektórzy myślą o tym dosłownie, jako obelgi wpisane na kartkach do głosowania), pokazać świadectwo sprzeciwu.

W końcu nikt nie miał gwarancji, że w 1989 r. PRL-owskie władze nie „ukradną wyborów”, a jednak 4 czerwca okazał się wielkim przełomem. Część ówczesnych opozycjonistów nawoływała do bojkotu tamtych wyborów, ale to biorący w nich udział mieli historyczną rację. Może teraz należałoby postąpić podobnie? Różnica jest jednak taka, że dzisiaj po stronie wolnościowej nie ma tamtego entuzjazmu, jedności i wiary w polityczne powodzenie. Niemniej rezygnacja z uprawnień, nawet jeśli są one limitowane dzisiaj przez PiS, jawi się dla części wyborców jako kapitulacja, smętne podsumowanie wszystkich jałowych wysiłków antyPiSu z minionych lat.

Te dwie postawy walczą teraz ze sobą w wielu polskich domach. Gorące spory toczą się także wśród polityków, publicystów, na forach internetowych i w mediach społecznościowych. Opinie zmieniają się wielokrotnie, czasami radykalnie. Niektórzy próbują uciekać od tego dylematu, przyjmując, że „wyborów w maju na pewno nie będzie”. Opozycja w podjęciu decyzji o udziale w wyborach nie pomaga – skłócona, podejrzliwa wobec siebie nawzajem, niepotrafiąca wznieść się nawet do poziomu własnych deklaracji o naczelnym zadaniu obrony demokracji i odebrania władzy PiS. Wielu wyborców wciąż oczekuje wskazówek, sugestii, dowodu na istnienie jakiegoś szerszego planu. Tego wszystkiego przez ostatnie miesiące dramatycznie brakowało. Pojawiło się poczucie politycznego i mentalnego porzucenia. Nie ma po stronie opozycji ani jednolitego wezwania do bojkotu, ani do powszechnej mobilizacji. Choć może wciąż nie jest za późno na wspólną deklarację czy nawet akcję, choćby jakąś demonstrację w dniu głosowania (paradoksalnie, znacznie ułatwioną przez nakaz publicznego noszenia masek).

Jak napisaliśmy, obie wymienione strategie wobec wyborów (wciąż przy założeniu, że te wkrótce się odbędą) dają się osobno uzasadnić. Czasy władzy PiS rodzą dylematy polityczne i etyczne nieznanne od 30 lat, a nawet od PRL, to dzieje się po raz pierwszy, dlatego nie ma gotowych rozwiązań. Niemniej nie ukrywamy, że w redakcji POLITYKI bliższa jest nam idea bojkotu, zwłaszcza gdyby wybory w dowolnym terminie majowym miały się odbyć według niezmienionej ordynacji „kopertowej” zaproponowanej przez PiS. Jeśliby udało się ją jakoś ucywilizować w kierunku demokratycznych standardów – zwłaszcza w kwestii tajności i transparentności – mogłoby to stanowić nowy element do rozważań. Jednak i wtedy pozostaje choćby kwestia niekonstytucyjnego sposobu uchwalenia zmian w Kodeksie wyborczym czy niemożność prowadzenia kampanii przez opozycyjnych kandydatów.

Jednocześnie rozumiemy motywację tych, którzy uważają, że nawet do takich wyborów należy podejść. Tu z kolei decyzję ułatwiłoby jakieś skoordynowane wezwanie kandydatów i liderów opozycji do głosowania albo chociaż przygotowania dokumentacji niezbędnej do złożenia wyborczych protestów. Byłby to dowód na chęć podjęcia walki – zwłaszcza w terminach po 10 maja. Wzmocnieniem byłby też „pakt drugiej tury”, na wypadek gdyby

do niej doszło, czyli deklaracja poparcia tego kandydata opozycji, który przejdzie do finału.

Na razie jednak dominują partyjne interesy, pragnienie zajęcia „drugiego miejsca” w jednoturowych parawyborach.

W przypadku Kosiniaka-Kamysza i Hołowni oznaczałoby to względne wzmocnienie i przeniesienie w przyszłość ich projektów politycznych. Bo już trwa wyścig do parlamentarnej elekcji w 2023 r., do zajęcia fotela lidera opozycji. Trudno za to winić ugrupowania, taka jest natura politycznej gry. Ale też ta wewnętrzna rywalizacja w obozie opozycji od lat osłabia ją w starciu z PiS. Teraz trwa akorat parcelacja Platformy, czego nikt nie chce przegapić. Gorzej, że przez ostatnie lata formacje opozycyjne zawzięcie dzieliły niePiSowy tort, nie naruszając w niczym stanu posiadania Kaczyńskiego.

Może to w konsekwencji doprowadzić do trwałej hungaryzacji opozycji: na Węgrzech jest Orbanowski hegemon i kilka partyjek o zbliżonym do siebie niskim poparciu. To spłaszczenie widać też w Polsce, gdzie notowania opozycyjnych kandydatów na prezydenta wyrównują się na poziomie ok. 8–12 proc., a do tego zaczynają dopasowywać się partie. To niebezpieczny kierunek. Bez chociaż jednego dużego ugrupowania, mającego PiS w zasięgu wzroku, ta walka będzie beznadziejna, bo to bardzo demotywuje elektorat. Jeśli Kaczyński patrzy na Budapeszt, to opozycja też powinna to robić. Niewykluczone więc, że nie obędzie się bez nowych politycznych projektów: na przykład duża, centrowa, umiarkowana chadecja szukająca porozumienia z socjaldemokracją.

Nadchodzące wybory prezydenckie szykują się jako trauma polskiej demokracji (być może jej koniec – jak mówi prof. Ekiert w wywiadzie na s. 19). Od opozycji będzie zależeć, czy z tego wydarzenia wyciągnie jakieś konstruktywne wnioski, znajdzie energię na przyszłość. Ta organizowana przez ministra Sasina wyborcza impreza może stać się symbolem, kwintesencją i kulminacją metod PiS, co uzmysłowi ludziom, w jakim miejscu znalazła się Polska. Niewykluczone, że okaże się pyrrusowym zwycięstwem obozu władzy, że coś się w zbiorowej świadomości (a także w zapleczu politycznym Kaczyńskiego) przełamie. PiS wiele rzeczy robił „na rympał”, ale chyba nigdy aż tak bardzo wbrew woli tak znacznej części społeczeństwa. To się w końcu może zemścić, a 10, 17 czy 23 maja stać się mogą istotną, „założycielską” datą dla przeciwników PiS. Jeśli zaś wybory przesuną się na sierpień czy jesień i pojawi się możliwość bardziej normalnego głosowania, opozycja dostanie do wykorzystania drugą szansę. Kolejnej już raczej nie będzie. I to prawdopodobnie na długie lata.



Pan Zaradkiewicz

Kamil Zaradkiewicz 14 maja będzie obchodził swoje 48. urodziny. Prezydent Andrzej Duda pospieszył się z prezentem, bo w ubiegłym tygodniu wyznaczył go na tymczasowego pierwszego prezesa Sądu Najwyższego. – *Dostał tę nominację z dwóch powodów. Po pierwsze, jest symbolem tego, że ktoś, kto się wywodzi ze środowiska głównego nurtu prawniczego, może zmienić poglądy i przejść na naszą stronę. Po drugie, dlatego że jest dziś od nas zależny* – mówi bez ogródek polityk PiS. Dla prawników, którzy protestują przeciwko przejmowaniu przez PiS sądownictwa, Zaradkiewicz też jest symbolem zdrady: konstytucyjnych wartości i własnego środowiska.

Do Trybunału Konstytucyjnego sprowadził Zaradkiewicza 20 lat temu ówczesny prezes prof. Marek Safjan. Docenił zdolnego studenta prawa UW, który później pisał pod kierownictwem profesora doktorat, zrobił też habilitację, za którą zbierał wyróżnienia, m.in. od premier Ewy Kopacz. Dziś jest dla nauczyciela wielkim rozczarowaniem: – *Dzieliłiśmy te same wartości, mieliśmy niemal te same poglądy na prawo, praworządność i trójpodział władzy. Teraz to jest kompletnie inna osoba. To zaprzeczenie tego, co robili i mówili przez czas naszej współpracy.*

Cztery lata temu, pracując w TK, w którym prezesem był jeszcze prof. Rzepliński, Zaradkiewicz udzielił wywiadu. Mówił, że wyroki TK nie zawsze są ostateczne. Taką tezę lansuje też PiS w sporze o Trybunał. Jak to się stało, że współpracownik prof. Rzeplińskiego, ikony walki o niezależność Trybunału, stał się faworytem Zbigniewa Ziobry i ulubieńcem rządowych mediów, awansującym na kolejne stanowiska w wymiarze sprawiedliwości?

– *Właśnie o te awanse chodzi. Kiedy PO pod koniec rządów wymieniła pięciu sędziów Trybunału, jakby*

na zapas, na miejsca zwalniane do końca roku, Zaradkiewicz liczył, że dostanie nominację. Był rozczarowany i przeszedł na ciemną stronę mocy – opowiada prawnik, dawny znajomy Zaradkiewicza. Na tę zmianę frontu nie chciała się nabrać Krystyna Pawłowicz. Mówiła publicznie, że Zaradkiewicz chce przypodobać się obozowi władzy, by uczynił z niego swojego sędziego w TK.

Pierwszą nagrodę od PiS Zaradkiewicz dostał niemal natychmiast. Został powołany na reprezentanta ministra skarbu w radzie nadzorczej gdańskiej spółki Naftoport (do 2018 r.). W kwietniu 2017 r. został dyrektorem Departamentu Prawa Administracyjnego w resorcie sprawiedliwości. W kolejnym roku, gdy PiS przejął kontrolę nad KRS, zgłosił się do bojkotowanego przez wielu prawników naboru do Izby Cywilnej SN. Pawłowicz znów zaprotestowała, a w obronę wzięł go Ziobro. Na posiedzeniu KRS mówił, że „ludzie mogą się zmieniać”, i wyliczał zasługi Zaradkiewicza dla PiS: że pokazał wewnętrzną siłę i determinację oraz to, że „można opowiedzieć się za inną opcją”. „Zasług” Zaradkiewicza przybywało: w 2019 r. skierował do TK pytania o prawidłowość powołań sędziów SN przez poprzednią, niezależną KRS. Pytał też, czy Pierwsza Prezes Małgorzata Gersdorf jest uprawniona do kierowania sądem. A pod koniec minionego roku opublikował spis 747 sędziów orzekających aktualnie w sądach, którzy zostali powołani przez Radę Państwa PRL.

Na 8 maja p.o. prezesa Zaradkiewicz zwołał Zgromadzenie Ogólne Sędziów SN, które wybierze kandydatów na nowego Pierwszego Prezesa (spośród nich prezydent wybierze prezesa). Zaradkiewicz nie zamierza kandydować. Według naszych rozmówców liczy na to, że przypadnie mu stanowisko prezesa Izby Cywilnej SN. Kilka dni temu zaapelował do sędziów o „powstrzymanie od wypowiedzi publicznych, które mogłyby osłabiać zaufanie do niezależnego sądownictwa”. – *Sam musiałby zamilknąć, ale tego, co zrobił przez ostatnie lata, i tak nie da się zmilczeć* – mówi znajomy Zaradkiewicza. (DAB.)



Będzie druga nominacja do Oscara?

Najnowszy film Jana Komasy „Sala samobójców. Hejter” zdobył nagrodę za najlepszy międzynarodowy film fabularny na nowojorskim Tribeca Film Festival – jednym z najważniejszych przeglądów niezależnego kina w USA; w tym roku organizowanym online. To sytuacja bez precedensu. „Hejter” jest pierwszym i jedynym jak dotąd polskim filmem, któremu udało się znaleźć w głównym konkursie tej prestiżowej imprezy i od razu ją wygrać. I to niespełna dwa miesiące po nominacji do Oscara za poprzedni film Komasy – „Boże Ciało”.

„Hejter” został wyprodukowany z prywatnych pieniędzy (bez wsparcia PISF) z inicjatywy Wojciecha Kabarowskiego i Jerzego Kapuścińskiego, którzy, dostrzegając narastające zagrożenie fake newsami i manipulacją w sieci, zebrali budżet i namówili reżysera oraz scenarzystę Mateusza Pacewicza, by nakręcił na ten temat film. Jury pod przewodnictwem brytyjskiego reżysera Danny’ego Boyle’a („Trainspotting”, „Slumdog”) uznało „Hejtera” za rewelację, chwalać jego bardzo aktualną wymowę, artystyczną wyrazistość

i zaangażowanie polityczne. „Czym Nixon i Watergate byli dla Coppoli, gdy kręcił »Rozmowę«, tym Facebook i fake newsy są dla twórcy »Hejtera«” – napisał w liście gratulacyjnym Boyle. Inny członek jury, wybitny aktor amerykański William Hurt, nazwał film inspirującym, wnikliwym, istotnym i moralnie potężnym, zwracając uwagę, że o jego sile przesądza szczególnie rodzaj empatii, która jest autentycznym wyrazem sumienia artystów. Wygrana w Tribeca to szansa na drugie

życie dla filmu, który mimo entuzjastycznych recenzji i znakomitej frekwencji podczas weekendu otwarcia zszedł z ekranów niespełna tydzień po premierze, stając się symbolem problemów, jakie przeżywa cała branża w obliczu epidemii. „To fajny dzień dla europejskiego i polskiego kina, w czasie kiedy wirus nienawiści połączył siły z wieloma nowymi patogenami” – komentował na FB Komasa.

Na „Hejtera” do kin, zanim je zamknęto, poszło 201 393 widzów. W pierwszym tygodniu dystrybucji na platformach Canal+ i Player+ film zobaczyły łącznie 59 562 osoby. (JW)



Przedszkolna prowizorka

Tych zaleceń nie sposób zrealizować. Wygląda to tak, jakby władze założyły, że w żłobkach i przedszkolach po prostu nie będzie się ich przestrzegać. Albo też – że placówki nie zostaną otwarte – to najczęstsze komentarze nauczycielek i opiekunek do wytycznych głównego inspektora sanitarnego wydanych po decyzji rządu o ponownym otwarciu żłobków i przedszkoli. 29 kwietnia ministrowie ogłosili, że placówki mogą zacząć przyjmować podopiecznych od 6 maja. Sygnały, że podobny krok jest planowany, padały już wcześniej. Nikt chyba jednak nie przypuszczał, że decyzji może towarzyszyć aż tak daleko idąca prowizorka. Nie dość, że o otwarciu instytucji opieki poinformowano tuż przed wydłużonym majowym weekendem, pozostawiając personelowi bardzo mało czasu na organizację pracy, to szczegóły dotyczące tego, jak owa praca powinna być organizowana, przekazywano we fragmentach przez kolejne kilkadziesiąt godzin. Przy czym częściowo wzajemnie się one wykluczały: – Na czwartkowej konferencji minister Szumowski zapewniał, że personel placówek nie musi nosić maseczek. Ale już



w wytycznych GIS czytamy, że w trakcie wykonywania czynności higienicznych przy dziecku należy używać maseczek, rękawiczek jednorazowych oraz fartucha z długim rękawem. Dodam, że taki fartuch kosztuje ok. 27 zł, jest jednorazowy, a dzieci w żłobku przewijają się pięć razy dziennie – podaje przyклад Iga Kazimierczyk, prowadząca punkt opiekuna dziennego Drejdel dla dzieci do trzeciego roku życia. – Według wytycznych rodzice przeprowadzający podopiecznych do przedszkoli i żłobków powinni zachować minimum dwa metry dystansu od pracowników. Doprawdy, trudno to sobie wyobrazić w przypadku dzieci niechodzących.

Według GIS w jednej grupie może przebywać maksymalnie 12–14 dzieci. To z kolei

stwarza szczególne wyzwania w przedszkolach. W standardowych warunkach jedna nauczycielka przedszkolna ma pod opieką 25 dzieci, więc pań niejako na wejściu jest o połowę za mało. Ponadto z pracy mają być wyłączone m.in. osoby powyżej 60. roku życia. Jeśli nawet na razie do placówek miałyby przychodzić połowa podopiecznych, powstaje pytanie, kto ma organizować naukę zdalną pozostałych? Ta kwestia nabiera szczególnego znaczenia w przypadku najstarszych dzieci, w tzw. zerówkach.

Ostateczna decyzja o otwarciu żłobków i przedszkoli została pozostawiona organom prowadzącym, czyli – najczęściej – samorządom (szef MEN Dariusz Piontkowski z dużym wyrzutem mówił jednak o prezydentach miast, którzy zapowiedzieli, że nie będą w stanie ze spokojnym sumieniem otworzyć ich od 6 maja). W wielu placówkach przeprowadzono sondaże, ilu rodziców i od kiedy chcieliby korzystać z opieki. Zainteresowani początkowo byli w mniejszości, zwłaszcza po informacji, że nadal wypłacane mają być zasiłki opiekuńcze (jeszcze niedawno przewidywano to tylko do 3 maja). Powracają też pytania, jakie miałyby być warunki przywracania opiekuńczej funkcji szkół, czyli uruchomienia świetlic, dla dzieci z klas 1–3, o czym też wspominał minister Piontkowski? I czy te zasady również zostaną opublikowane na trzy dni przed ich otwarciem? (J. CIEŚ.)

Pacjenci gorszego sortu?

Czy chorzy na COVID-19 leczeni w powiatowych szpitalach przerobionych na zakażne mają mniejsze szanse na przeżycie? W przeciwieństwie do pacjentów szpitali klinicznych i resortowych nie dostają leków antywirusowych rekomendowanych przez Polskie Towarzystwo Epidemiologów i Lekarzy Chorób Zakaźnych. Powiatowe szpitale, awansowane na zakażne i postawione na pierwszej linii frontu walki z epidemią, nie mają pieniędzy na drogie leki ani odwagi, by prowadzić terapię eksperymentalną. Bo większość leków proponowanych przez PTEiChZ ma rejestrację, ale w innych wskazaniach niż zakażenia koronawirusowe. Trzeba zatem wystąpić o zgodę na eksperymentalną terapię do komisji bioetycznej. – Nie wpłynął żaden wniosek z mazowieckich szpitali zakaźnych dotyczący leczenia COVID-19 – mówi Renata Jeziółkowska, rzecznik prasowy OIL w Warszawie. – Za to było dużo pytań, jak takie wnioski składać.

Leczą więc tym, co jest na stanie, i liczą na cud. – Nie mamy leków antywirusowych, pacjenci dostają Chlorochinę i Azytromycynę – mówi wicedyrektor szpitala ds. lecznictwa w Kozienicach dr Witold Wrodycki. – Gdyby stan pacjenta tego wymagał, możemy

odesłać go do większego ośrodka. Próbowali przewieźć chorą na COVID-19 pielęgniarkę w bardzo ciężkim stanie do szpitala MSWiA w Warszawie. Nie zdążyli: zmarła podczas transportu. Z Radomskiego Szpitala Specjalistycznego chorą w ciężkim stanie podłączoną do ECMO przewiózł policyjny black hawk. Kilka dni wcześniej w Radomiu zmarł pierwszy pracownik ochrony zdrowia, 46-letni fizjoterapeuta. Radomski szpital też nie stosuje leków antywirusowych. Bo jak się eksperyment powiedzie, wszyscy będą bić brawo, a jak się nie uda, wkroczy prokurator.

– Niestosowanie tych leków nie jest błędem w sztuce – mówi prof. dr hab. med. Robert Flisiak, kierownik Kliniki Chorób Zakaźnych i Hepatologii UM w Białymstoku, prezes PTEiChZ. – Prawdę mówiąc, spodziewałem się, że mniejsze szpitale będą się po prostu bały po nie sięgać.

Towarzystwo już 31 marca wydało „Zalecenia postępowania w zakażeniach SARS-CoV-2”. A w nim propozycje podania, wraz z dawkowaniem, leków antywirusowych (np. Lopinawir/ritonawir, Remdesivir, w dalszej kolejności Favipirawir, Ruxolitnib, Oseltamiwir, Opaganib, Verdinexor) w kombinacji z Chlorochiną lub Hydroksychlorochiną,

którą u pacjentów w cięższym stanie zastępuje się Tocilizumabem. – To schemat przetestowany przez chińskich lekarzy w leczeniu COVID-19 – mówi prof. dr hab. med. Krzysztof Simon z Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego im. J. Gromkowskiego we Wrocławiu, który jako pierwszy w Polsce zastosował nowe terapie. – Zmniejszył śmiertelność w określonych grupach chorych. A skoro nie ma leczenia celowanego, trzeba próbować wszystkiego, co może działać.

Nowy lek, Remdesivir, stworzony do walki z wirusem ebola, będzie podawany pacjentom zakwalifikowanym do eksperymentalnej terapii w ramach badań klinicznych, które prowadzi producent: Gilead Sciences. Umowę podpisały wrocławski szpital im. Gromkowskiego, łódzki im. Biegańskiego, poznański im. Strusia oraz szpital MSWiA w Warszawie. – Szkoda tylko, że producent wyraźnie określił, że mamy podawać go jedynie w stanie niewydolności oddechowo-krążeniowej, czyli w bardzo zaawansowanym stadium choroby – mówi prof. Simon. – Moim zdaniem zadziałałby lepiej wcześniej, w fazie gwałtownej replikacji wirusa. We Wrocławiu lek dostanie 10 pacjentów. Podobnie w trzech innych klinikach. Na sytuację pacjentów leczonych w szpitalach powiatowych nie będzie to miało żadnego wpływu. (A. SOW.)

COVID-19, TYDZIEŃ DWUDZIESTY TRZECI

NADAL PONAD 4,5 MLD OSÓB ZE 110 KRAJÓW MA ZALECENIE POZOSTANIA W DOMACH, choć prawie wszędzie ogłaszane są długoterminowe plany wychodzenia z kwarantanny. Według danych gromadzonych przez Johns Hopkins University (w poniedziałek, 4 maja) w 210 państwach i terytoriach grupa zarażonych koronawirusem przekroczyła 3,5 mln, a liczba ofiar śmiertelnych – 250 tys., z czego 90 proc. przypada na Europę i USA. Ciągłe najszybciej epidemia rozwija się w Stanach, gdzie zanotowano 1,2 mln przypadków i śmierć blisko 70 tys. osób (czyli więcej niż zginęło podczas wojny wietnamskiej, jak wyłapały media). Najtrudniejsza jest sytuacja w stanie Nowy Jork, gdzie zmarło blisko 19,5 tys. osób, w tym 98 w ośrodku opieki Isabella Geriatric Center na Manhattanie. Według „Washington Post” w co szóstym domu starców w USA zanotowano przypadki koronawirusa. Sekretarz stanu Mike Pompeo ogłosił, że są „poważne dowody”, iż wirus wydostał się z laboratorium w Wuhanie. Prezydent Donald Trump planuje z tego powodu nałożyć na Chiny karne cła. Poinformował też, że antycovidowa szczepionka powinna być gotowa „do końca roku” (większość ekspertów wskazuje raczej na połowę 2021 r.). Agencja ds. Żywności i Leków (FDA), po zachęcających badaniach klinicznych, dopuściła do leczenia remdesivir.

Na Europę przypada 7 z 10 najbardziej dotkniętych państw i 1,5 mln zdiagnozowanych przypadków. W czterech liczba ofiar przekroczyła 20 tys., wszędzie pojawiają się pozytywne oznaki, choć daleko do przełomu. Nadal najciężej doświadczono są Włochy – 212 tys. zachorowań i 29 tys. ofiar śmiertelnych (ale ich dzienna liczba szybko spada). W tym tygodniu zostaną otwarte m.in. dwa lotniska, choć premier Giuseppe Conte ostrzega przed zbyt szybkim luzowaniem obostrzeń. Hiszpania ma najwięcej przypadków: blisko 220 tys. zarażonych i 26 tys. zmarłych. Po sześciu tygodniach najsurowszej wersji kwarantanny Hiszpanie mogą wyjść na spacer, także dzieci (choć na krótko i blisko domu oraz w różnych godzinach). Bardzo szybko epidemia rozwija się w Wielkiej Brytanii – blisko 200 tys. chorych i 29 tys. zgonów (ta liczba wzrosła skokowo, kiedy zaczęto uwzględniać zmarłych w domach opieki). „To podróż przez długi alpejski tunel” – określił sytuację premier Boris Johnson,

który po chorobie powrócił do pracy. We Francji liczba chorych przekroczyła 170 tys., w Niemczech zaś 167 tys., a ofiary śmiertelne to odpowiednio 25 tys. i 7 tys. Dramatycznie pogarsza się sytuacja w Rosji: ponad 135 tys. zachorowań (codziennie przybywa 10 tys.) i 1,3 tys. przypadków śmiertelnych (która to liczba jest podważana). Przeprowadzono już 4 mln testów. W Moskwie (40 tys. testów dziennie), gdzie dotychczas było najgorzej, przybywa co dzień 5 tys. chorych, ale szybko rośnie też ich liczba poza stolicą, tam bardzo brakuje sprzętu. Wśród chorych jest premier Michaił Miśzustin i minister budownictwa. Trudna jest sytuacja w Turcji – ponad 130 tys. przypadków i 3,5 tys. ofiar śmiertelnych (prawdopodobnie liczba mocno zaniżona); oraz w Iranie: 99 tys. zachorowań i 6,3 tys. zmarłych. I bardzo szybko przybywa chorych w Brazylii koronawirusowego prezydenta Jaira Bolsonaro: jest ponad 100 tys. chorych i 7,4 tys. ofiar. Według oceny zespołu badaczy COVID-19 Brasil rzeczywista liczba zarażonych sięga 1,3 mln.

Wszędzie tam epidemia przybrała większą skalę niż w Chinach, gdzie się zaczęła (oficjalnie: 84 tys. zachorowań). Od dwóch tygodni nie zgłoszono tam ani jednego przypadku śmierci, podobnie w Korei Płd., a ostatnio w Nowej Zelandii. W Kanadzie zanotowano 62 tys. zachorowań i 2,9 tys. zgonów, w Belgii: ponad 50 tys. i 8 tys. (tu, po wliczeniu pensjonariuszy domów opieki, jest największy wskaźnik zgonów w stosunku do liczby ludności, choć to dane trudno porównywalne z innymi krajami).

W Indiach, gdzie liczba chorych dobiega do 45 tys., jako warunek powrotu do pracy wprowadzono podłączenie do aplikacji Aarogya Setu, ostrzegającej przed nosicielami koronawirusa. W Australii 4 mln użytkowników zainstalowało podobną aplikację COVIDSafe, od skali jej popularności premier Scott Morrison uzależnił tempo łagodzenia obostrzeń.

Według Christine Lagarde, szefowej Europejskiego Banku Centralnego, przewidywana tegoroczna recesja w strefie euro wyniesie „między 5 a 12 proc.”; w pierwszym kwartale recesja sięgnęła 3,8 proc., najwięcej we Francji (5,8 proc.), Hiszpanii (5,2) i we Włoszech (4,7). Jeśli chodzi o przyszłość europejskiej gospodarki, „jesteśmy całkowicie we mgle” – komentowała przy pustej sali. W USA PKB w pierwszym kwartale (w porównaniu z zeszłym rokiem) spadł o 4,8 proc. W Niemczech, według ministra gospodarki Petera Altmaiera, PKB może zmaleć w tym roku o 6,3 proc.

O sytuacji we Włoszech – s. 42, w USA – s. 45 i w Ukrainie – s. 48.

Ramadan w kwarantannie

Przez 30 dni 1,8 mld muzułmanów na całym świecie od wschodu do zachodu Słońca nie je, nie pije (nawet wody), nie pali, nie uprawia seksu. Ramadan, czyli dziewiąty miesiąc muzułmańskiego kalendarza, rozpoczął się 23 kwietnia i potrwa do 23 maja. W normalnych czasach związany z nim całonocny post przerywany jest wieczorną ucztą – iftarem – spożywaną w licznych gronie bliskich lub w meczetach, w połączeniu z modlitwą. Pandemia wywróciła tę tradycję do góry nogami, choć akurat zakażeni koronawirusem, jak i wszyscy chorzy, są zwolnieni



z postu. Reszta, o ile może, wieczorami je i pije do ekranu laptopa.

Od Maroka do Indonezji rządy państw muzułmańskich przyjęły szereg restrykcji na czas ramadanu w związku z pandemią. Niemal wszędzie zakazane

są zbiorowe modły, charakterystyczne dla tego miesiąca, pozamykano meczety. W Egipcie, który słynie z burzliwego, wielogodzinnego i publicznego świętowania iftaru, rząd wprowadził godzinę policyjną od 20 do 6 rano. Saudyjczycy bezterminowo zamknęli **Mekkę**, najświętsze miejsce islamu, dla zagranicznych pielgrzymów. W Jerozolimie meczet Al-Aksa jest zamknięty od połowy marca. W Indonezji rząd zakazał jakichkolwiek podróży w czasie świętego miesiąca. Nawet w Iranie władze wezwały do powstrzymania się od wspólnych modlitw. Wyjątkiem jest Pakistan, gdzie władzom religijnym udało się zablokować zamknięcie meczetów, choć modlący się muszą zachować dwumetrowy odstęp i przynosić własne maty modlitewne.

Zamach na burmistrza Pragi?

Czy rosyjskie tajne służby naprawdę chciały zabić burmistrza Pragi oraz starostę jednej z centralnych dzielnic czeskiej stolicy? Przed tygodniem takie informacje opublikował renomowany tygodnik „Respekt” (a słynie on z tego, że ma bardzo dobre informacje z tajnych służb). Dziennikarze poinformowali, że kontrwywiad wykrył rosyjskiego dyplomata, który przyleciał w kwietniu do Pragi, przywożąc ze sobą dawkę trucizny używanej w skrytobójczych zamachach. Potencjalnego zamachowca rzecz jasna nie aresztowano, kontrwywiad go po prostu dyskretnie obszeruje. I o sprawie nikt by się nie dowiedział, gdyby nie to, że nagle trzech komunalnych urzędników w stolicy dostało policyjną ochronę. Najbardziej rozmowny był Ondřej Kolař, burmistrz dzielnicy Praga 6. „Mogę powiedzieć tylko tyle, że do kraju przyjechał Rosjanin, który ma zadanie mnie

zlikwidować. I to nie tylko mnie, ale też Novotnego i Hříba” – powiedział.

Kolař załaził Kremlowi za skórę decyzją o likwidacji pomnika sowieckiego marszałka Iwana Koniewa, który dowodził operacją wyzwolenia Pragi w 1945 r. Historycy ustalili, że brał on też udział w sowieckiej inwazji na Węgry w 1956 r. i koordynował akcje szpiegowskie przed atakiem Układu Warszawskiego na Czechosłowację w 1968 r. Pomnik był systematycznie demolowany, teraz trafił do magazynu muzealnego. Z kolei Pavel Novotný, burmistrz dzielnicy Ržeporyje, chce na swoim terenie wybudować miejsce pamięci Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej gen. Własowa, który z jeńców stworzył antykomunistyczne oddziały kolaborujące z Hitlerem. Kreml uznaje ich za zdrajców, ale faktem jest, że w maju 1945 r. pomogli praskim powstańcom wyzwolić stolicę, jeszcze zanim dotarły do niej wojska Koniewa.

No, a Zdeněk Hřib, burmistrz Pragi, przez Kreml jest uważany za autora oprotostowanego pomysłu, aby łączyąc w centrum miasta plac Pod Kasztanami przemianować na plac Borysa Niemcowa – rosyjskiego polityka opozycyjnego zamordowanego w Moskwie w 2015 r. przez „nieznanych sprawców”. Dokładnie przy tym placu znajduje się od dekad rosyjska ambasada.

Kreml oczywiście wszystkiemu stanowczo zaprzecza i protestuje. A premier Andrej Babiš wydał tylko lakoniczny komunikat, że nie zgadza się na mieszanie się obcych państw w wewnętrzne sprawy Republiki Czeskiej. Resztę ma przykryć koronawirus.



Praga już nie ma pomnika Iwana Koniewa.

Liczmy się jak Chińczycy

Ciekawe, czy chińscy komuniści znają ewangeliczną przypowieść o nielitościwym dłużniku (Mt 18, 21-35). Chyba nie. Podczas gdy prognozy ekonomiczne dla państw Zachodu w związku z pandemią zaczynają być bardzo złe, tzw. reszta świata szykuje się na gospodarczą i społeczną hekatombę. W krajach rozwijających się kryzys gospodarczy załame i tak już ledwo dyszącą służbę zdrowia. Szczególnie że wraz z ucieczką kapitału pikują kursy lokalnych walut. A to oznacza horrendalne koszty obsługi zagranicznego zadłużenia, bo rośnie cena dolarów czy euro, które trzeba spłacać. Wiele tych państw wkrótce stanie przed wyborem: spłacać długi czy utrzymać szpitale.

Już ponad 50 państw rozwijających się poprosiło Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Światowy o zawieszenie spłaty zaciągniętych tam kredytów lub

przynajmniej ich oprocentowania. Kraje te w jeszcze większym stopniu zadłużone są państw bogatszych. Dlatego obie te globalne instytucje finansowe zwróciły się do grupy G20 z prośbą o ograniczenie egzekwowania tych długów na czas pandemii. 19 państw natychmiast się zgodziło, sprzeciwiły się tylko Chiny.

Państwo to w ramach Inicjatywy Pasa i Drogi stało się jednym z największych kredytodawców dla państw rozwijających się. U Chińczyków po uszy zadłużeni są m.in. Pakiścińczycy, Kenijczycy, Etiopczycy. Przy czym mimo że Chiny mówią o „preferencyjnych kredytach”, ich oprocentowanie sięga czasem nawet 7 proc. Jednocześnie Pekin jest jednym z największych kredytobiorców w Banku Światowym, gdzie oprocentowanie ledwo przekracza 1 proc. Pytanie więc, czy aby król powinien być tak litościwy wobec nielitościwego dłużnika.



Kiwi potrafi!

Nowa Zelandia, jako druga po Chinach, ogłosiła, że opanowała sytuację z koronawirusem. Liczba nowych zachorowań od wielu dni zeszła w granice zera, a każde nowe ma swoją przeanalizowaną historię: kto od kogo, w jakich okolicznościach. Tylko 12 z dotychczasowych 1124 przypadków nie ma ustalonych powiązań. Małej, odległej, wyspiarskiej Nowej Zelandii o rozproszonej ludności było łatwiej niż wielu innym. Ale za sprawą talentów komunikacyjnych premier **Jacindy Ardern**, która od dawna jest faworytką światowych mediów, od początku walka z wirusem potraktowana została jako zadanie zbiorowe. „Jesteśmy teraz pięćmilionową drużyną” – powtarzała pani premier. Bardzo wcześniej, już 19 marca, całkowicie zamknięto granice, wprowadzając dla przybyszów ostrą dwutygodniową kwarantannę, a tydzień później objęto nią wszystkich mieszkańców. W efekcie tylko co trzeci przypadek zarażenia miał zagraniczne źródło (w sąsiedniej Australii dwa razy tyle). Poza rozbudowaną procedurą testów postawiono na tropienie ścieżek zarażeń, np. zachęcając wszystkich, aby prowadzili swoje „dzienniczki kontaktów”, i nakazując, aby pozostawali „w swojej bańce”. W efekcie 80 proc. kontaktów każdego nowego chorego było ustalanych w 48 godzin.

To wszystko po 5 tygodniach przyniosło opisane rezultaty: stopień zagrożenia, z najwyższego, czwartego, został obniżony do trzeciego. I lekko rozszerzono „bańkę kontaktów”: otwarto bary z jedzeniem na wynos i powoli ruszają biznesy o mniej podstawowym znaczeniu. Pod McDonalda mi ustawiły się rozrzedzone kolejki, ale w dług lokalnych mediów największą radość, jako oznaka normalizacji, sprawia uliczna kawa. „Bądźcie silni, bądźcie dla siebie mili” – tradycyjnie kończy codzienne konferencje premier Ardern.

Ciemne liczby

PAWEŁ WALEWSKI



ILUSTRACJA MIROSLAW GRYN

Ile osób faktycznie umarło w Polsce na COVID-19? Oficjalne dane mówią o ponad 600 osobach na początku maja. My obliczamy, że ofiar jest przynajmniej czterokrotnie więcej. Skąd się biorą rozbieżności?

Próbę dokładnego ustalenia, jak wysoce śmiertelny jest koronawirus i ile osób umiera z powodu COVID-19, jeszcze nikomu się nie powiodło. Gdy dyrektor generalny Światowej Organizacji Zdrowia Tedros Ghebreyesus oświadczył niedawno, że wskaźnik ten wyniósł w Chinach niecałe 4 proc., nie przypuszczał, że Chińczycy następnego dnia postanowią uaktualnić podawaną wcześniej liczbę zgonów i dla miasta Wuhan niemal ją podwoją (we wcześniejszej statystyce umknęło, bagatela, 1290 ofiar). Media, na podstawie długości kolejek po odbiór urn z prochami zmarłych, szacowały liczbę ofiar w Wuhanie nawet na 30–40 tys.

Jeśli ktoś w Polsce chce na bieżąco śledzić przyrost zachorowań i zgonów, zagląda do codziennych meldunków głównego inspektora sanitarnego lub Ministerstwa Zdrowia i pewnie zdziwić się nie może, dlaczego w niektórych województwach zarejestrowano do tej pory pojedyncze przypadki śmierci, a w innych po kilkadziesiąt lub nawet ponad sto. Ale prof. Robert Flisiak, prezes Polskiego Towarzystwa Epidemiologów i Lekarzy Chorób Zakaźnych, przestrzega przed wyciąganiem z tego konkretnych wniosków: – *Proszę nie szukać w tym logiki. Zachorowania zależą w dużej mierze od wybuchających ognisk epidemicznych. Jeżeli w jakimś województwie trafi w DPS, to śmiertelność od razu wzrasta.*

O nierzetelnych danych mówią jednak inni lekarze, nawet nie anonimowo. Bartosz Fiałek, szef kujawsko-pomorskiego oddziału Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Lekarzy, nie ma wątpliwości, że statystyki w Polsce są zaniżone: – *Skoro nie testujemy nawet wszystkich osób objętych kwarantanną, to liczba zakażonych jest nieznana. Jeśli więc ktoś umiera na zapalenie płuc lub niewydolność serca bez wykonanego testu, nie dowiemy się, czy zakażenie nie miało wpływu na ten zgon.*

We wszystkich krajach liczby te są niedoszacowane, ale czy to jest wytłumaczenie? Światowe media – jak „The Economist” czy „The New York Times” – postawiły już globalną diagnozę: oficjalna liczba śmiertelnych ofiar może być teraz w każdym państwie zaniżona niemal o jedną trzecią. Oficjalne dane nie ujmują bowiem w bieżących statystykach tych, którzy umierają poza szpitalami i bez wykonanych testów na ewentualną obecność koronawirusa. Po drugie, nawet najbardziej kompletne rejestry dotyczące COVID-19 nie uwzględniają osób zabitych przez inne schorzenia, które prawdopodobnie byłyby skutecznie leczone, gdyby szpitale nie były zamknięte, a pacjenci nie rezygnowali z leczenia ze strachu przed infekcją.

W Polsce do tych obu przyczyn (o „niewidzialnych umierających” pisaliśmy w POLITYCE 17) należy dodać brak zaufania do rządu. To nie przypadek, że o fałszowaniu statystyk zgonów jako jedni z pierwszych zaczęli mówić samorządowcy. Prezydent stolicy Rafał Trzaskowski w połowie kwietnia poinformował o poważnych rozbieżnościach w liczbie zgonów związanych z COVID-19 – podczas gdy rząd mówił o ośmiu przypadkach śmiertelnych w Warszawie, na podstawie aktów zgonu można się było ich doliczyć 32. „To wszystko wina nieprzejrzystego systemu raportowania, za co odpowiada rząd” – tłumaczył potem, chcąc odciąć się od oskarżeń, że zarzuca władzy celowe fałszerstwa.

Ale na brak zaufania obecna władza solidnie zapracowała, ewidentnie wykorzystując pandemię do politycznych gier i forsowania niekonstytucyjnych wyborów.

Bardzo złe wrażenie zrobiła decyzja wiceminister zdrowia Józefy Szczurek-Żelazko, która 20 marca po prostu rozesłała konsultantom wojewódzkim okólnik wzywający ich do „zaprzestania samodzielnego wydawania opinii dotyczących koronawirusa SARS-CoV-2”. Dotyczyło to również sytuacji epidemicznej, a więc liczby zachorowań i zgonów, które od tamtej pory mogą podawać jedynie konsultanci krajowi po otrzymaniu zgody od ministra i głównego inspektora sanitarnego. Nawet jeśli zgodnie z oficjalnym uzasadnieniem tej decyzji chodziło o nadanie komunikatom „jednolitej formy przekazu, by była sprawdzona i aktualna”, powstało wrażenie, że władza ma coś do ukrycia. Na przykład to, że nie radzi sobie z zarządzaniem kryzysem. Albo raczej, próbując uciszyć konsultantów, chce tą sytuacją zarządzać po swojemu.

To przecież jasne, że im bardziej płaska będzie krzywa zakażeń i niższa liczba zgonów, tym lepsze przesłanki dla bezpieczeństwa przeprowadzenia wyborów prezydenckich. „Liczby muszą być pod kontrolą władzy, bo to pozwala łatwiej interpretować rzeczywistość: jest źle, ale nie na tyle, by odwoływać głosowanie” – komentował na swoim blogu kardiolog Stefan Karczmarewicz.

Najgorsze jednak jest to, że w Polsce rząd nie musi specjalnie się starać, by po swojemu kreować statystykę. Tu ma rację prezydent Trzaskowski: system zgłaszania zgonów jest skomplikowany, nieprzejrzysty i od wielu lat bazy danych o śmiertelności Polaków są dziurawe. – *WHO nie rekomenduje Polski do międzynarodowych porównań wskaźników umieralności* – przyznaje Rafał Halik, specjalista zdrowia publicznego i epidemiolog z Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego PZH. Na przykład w 2017 r. zarejestrowano w Polsce 402 852 zgony, z których tzw. *garbage codes* (kody śmieciowe, czyli niewłaściwe przyczyny śmierci zaczerpnięte z międzynarodowej klasyfikacji chorób ICD-10, na której trzeba się oprzeć, wypełniając medyczne formalności) ustalono w 113 138 przypadkach. To aż 28,1 proc. wskazań! Ale wśród ludzi starszych odsetek ten jest wyraźnie wyższy i w przedziale wiekowym 85–89 lat wynosi 37,4 proc., 90–95 lat sięga 45,5 proc., a powyżej 95. roku życia aż ponad połowa umierających osób (53,9 proc.) miała w dokumentacji niedokładnie opisaną przyczynę swojej śmierci. Wniosek stąd płynie oczywisty: w Polsce umiera się po prostu „na starość”. Dlaczego więc teraz chcemy oczekiwać, że pod wpływem epidemii – gdy lekarze pracują pod dużej większą presją czasu – zmienią się dotychczasowe nawyki i stwierdzającym zgon będzie się chciało precyzyjnie zaznaczać i wszczynać medyczne śledztwo, że to koronawirus odebrał komuś życie?

Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego PZH od dawna zgłasza uwagi do tych nieścisłych opisów, które uniemożliwiają w Polsce precyzyjne określenie przyczyn zgonu. I Ministerstwo Zdrowia dobrze o tym wie, że lekarze nie są sumienni w wypełnianiu kart zgonu ani informowaniu sanepidu, na oddzielnych drukach, o stwierdzeniu choroby zakaźnej. Tolerując po cichu tę niesubordynację, teraz może na tym korzystać i chwalić się polską wyjątkowo niską śmiertelnością. – *Tylko nieliczne uczelnie, jak Uniwersytet Medyczny w Poznaniu, wprowadziły na zajęcia naukę* ▶